

Gdzie jest wielka łódź

Takiej imprezy jeszcze w Łodzi nie było – trzeba szczerze przyznać. Nawet mityczny festiwal Camerimage nie miał takiego rozmachu, dostępności (wstęp bezpłatny), różnorodności propozycji, atrakcyjności oferty filmowej, liczby gości. I nie chodzi o to, by licytować się na wagę „filmowych” nazwisk. Wydano olbrzymie pieniądze, o których miejscowi animatorzy markowych przedsięwzięć w Łodzi mogą tylko pomarzyć. Za to widać było niezłą organizację i działanie profesjonalnej kadry. Dlatego zatem mam nieodparte wrażenie, że Transatlantyk przeszedł bokiem?

Międzynarodowy Festiwal Filmu, Muzyki i Idei. Przez osiem dni 150 filmów w 23 sekcjach tematycznych, spotkania z reżyserami, aktorami, producentami, artystami filmu, panele dyskusyjne, wykłady, warsztaty dla profesjonalistów i amatorów, dla seniorów i niedosłyszących, koncerty i konkursy kompozytorskie muzyki filmowej, kino w łóżku i kino w restauracji – nie dało się zobaczyć i doświadczyć wszystkiego. Więcej: przeciętny łódzki konsument kultury, jeśli bardzo by się postarał, mógł wziąć udział w 1/3 wydarzeń, choć olbrzymia większość z nich była bezpłatna. Ten ogrom różnorodnych propozycji widać już na stronie internetowej festiwalu – liczba podstron, zakładek i sekcji do wyboru mogła przerażać. Łatwiej było posłużyć się papierowym programem dostępnym wszędzie tam, gdzie odbywały się festiwalowe wydarzenia.

Lektura przejrzystego planu zachęciła mnie do uczestnictwa. Starałem się wybierać projekcje powiązane ze spotkaniami czy dyskusjami. Atrakcyjne wydało mi się to, że poza prezentacją samych filmów festiwal poszerza moją wiedzę o świecie współczesnym, próbuje przybliżyć i tłumaczyć aktualne problemy społeczne. I tak po obejrzeniu izraelskiego filmu „Dzień po żałobie” uczestniczyłem w rozmowie na temat pomocy osobom, które straciły kogoś bliskiego. Projekcję dokumentu hiszpańskiego „Mury” uzupełniła debata o podziałach we współczesnym świecie, która odniosła się także do problemu uchodźców. Tunezyjski film „Hedi” poszerzony został o rozmowę na temat mało znanego kina krajów Afryki Północno-Zachodniej. Pokaz „Nienawistnej ósemki” stał się z kolei okazją do spotkania z Richardem Gladsteinem, producentem m.in. wszystkich filmów Quentina Tarantino. Bez specjalnej okazji porozmawiał z publicznością Tomasz Opasiński, autor plakatów do festiwalu Transatlantyk, tworzący od 15 lat w Hollywood plakaty do największych przebojów ekranu – m.in. „Transformers”, „Harry Potter”, „Hulk”, „Amelia”.

Miałem też okazję posłuchać wspomnień Irene Jacob związanych z jej pracą z Krzysztofem Kieślowskim, oraz rad, jakich udzielała młodym aktorom w Szkole Filmowej. Uczestniczyłem w niesamowitych prezentacjach filmów wirtualnej rzeczywistości – najnowszego medium wizualnego, którego język dopiero się tworzy, którego przeznaczenie jeszcze nie zostało przesądzone. Wejście w wirtualną rzeczywistość było absolutnie wyjątkowym doświadczeniem. Podobnie nowe, choć może nie tak oszałamiające, było dla mnie obserwowanie młodych kompozytorów z całego świata, którzy na żywo improwizowali muzykę do filmu animowanego, który po raz pierwszy widzieli chwilę wcześniej. Uczestnicy drugiego konkursu kompozytorskiego prezentowali swoją muzykę, którą w warunkach domowych stworzyli do dwóch krótkich filmów zadanych przez organizatorów przed festiwalem. Choć nie raz byłem na planie filmowym i rozmawiałem z niejednym kaskaderem, spore wrażenie zrobiły na mnie warsztaty kaskaderskie.

Wszystko to działo się w różnych częściach miasta – gale otwarcia i zamknięcia w Teatrze Wielkim, projekcje i spotkania, warsztaty i prezentacje w kinie Helios, Szkole Filmowej i EC1 Wschód, konkursy kompozytorskie i popisy kaskaderskie w Łódzkim Domu Kultury i wokół niego, koncerty i wykłady oraz projekcje w OFF Piotrkowska.

Były to ciekawe i pouczające doświadczenia, jednak często towarzyszyło mi uczucie zażenowania spowodowane pustkami na widowni. Bywało, że po projekcji na spotkaniu zostawało siedem osób. Niezależnie od tego, czy czekała na nie przedstawicielka fundacji Nagle Sami czy Tomasz Raczek lub Irene Jacob. W ogóle, mówiąc delikatnie, nie było tłumów na tym festiwalu. Jan A.P. Kaczmarek, dyrektor Transatlantyku na inauguracji przyznał, że w Poznaniu, skąd Łódź importowała imprezę, w najlepszym roku było 70 tys. widzów. Według organizatorów, na pierwszą łódzką edycję festiwalu wybrały się 32 tysiące osób, z czego grubo ponad połowa na filmy w kinie Helios.

W chwilach zażenowania pytałem sam siebie, czy to jest impreza dla Łodzi. Czy warto było wydać 4,5 mln zł publicznych pieniędzy, żeby zorganizować wielki festiwal w pustych salach? Dlaczego tak się stało? Z winy organizatorów, którzy nie potrafili swoich działań odpowiednio wypromować, czyli, jak pisał Łukasz Kaczyński na łamach „Dziennika Łódzkiego”: „przydać imprezie blasku, znamion wydarzenia wyjątkowego”? A może organizatorzy mieli pecha, bo w tym samym czasie trwały Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej, w których tak dobrze spisywali się nasi? Może miejsce było niedobre – kino Helios w Sukcesji, która na co dzień – nie ukrywajmy – świeci pustkami.

Czy jest w Łodzi, 700-tysięcznym mieście uniwersyteckim, choć bez tradycji mieszczańskich, publiczność dla wielkiego festiwalu, takiego jak Transatlantyk? Czy jest tu wystarczająca liczba osób zainteresowanych uczestnictwem w tylu wydarzeniach kulturalnych, nawet jeśli udział w nich jest bezpłatny? Odpowiedzmy sobie szczerze na to pytanie, zamiast szukać dziury w całym, że program nie taki, goście nie ci, łóżka brzydkie i brak wartości dodanej. Obawiam się, że nie ma wystarczającej grupy odbiorców dla takiej oferty. Przyznaję to z żalem, bo chciałbym, żeby Transatlantyk zadomowił się w Łodzi i będę go wyczekiwał w przyszłym roku. Z drugiej strony rozsądniej (oszczędniej) byłoby jednak zrezygnować. Ale może warto się zastanowić nad skutecznymi metodami zaimportowania również publiczności – z korzyścią dla miasta i festiwalu.

Bogdan Sobieszek